Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

50 GR

WIEM WSZYSTKO

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 42 — Warszawa, Niedziela, 1 listopada 1936. — Rok I

„Ala w krainie czarów"

Na marginesie książki Wrzosa o Piłsudczykach

W latach dziecięcych, najbardziej ukochaną książką moją była „Ala w krainie czarów" i chociaż zdaje się niema wątpliwości co do płci piszącego te słowa, książka przeznaczona raczej dla dziewcząt, pasjonowała mnie znacznie bardziej, niż najwspanialsze opowieści Karola Maya.

Dzisiaj, po kilkudziesięciu latach, oddzielających mnie od tych błogich czasów i od tej rozkosznej książki, znalazłem jej idealną namiastkę w postaci...

ostatniej książki p. Konrada Wrzosa, zatytułowanej: „Piłsudski i Piłsudczycy".)*

Aby uniknąć nieporozumień, zbytecznych zgrzytów i złośliwych uśmieszków, odrazu na wstępie stwierdzam, że Konrad Wrzos jest dla mnie dziennikarzem dużej klasy, dziennikarzem w całym tego słowa europejskim i nie przecząc, że w karierze jego dużo zaważyło szczęście, wdzięk osobisty, ujmujący sposób bycia, tych wszystkich walorów nie sposób uważać (jak to czyni wielu) za jedyny motor, dzięki któremu, p. Wrzos w błyskawicznym tempie zrobił dużą karierę dziennikarską, już nietylko na stosunki polskie, ale zgoła europejskie.

Konrad Wrzos potrafi również pisać i to pisać raczej zajmująco. Najważniejsze jednak, że

z wielkim talentem potrafi zdobywać sobie nieprzeciętnie interesujące materiały.

A to chyba w największym stopniu decyduje o karierze dziennikarza.

Gdy więc w witrynach księgarskich spostrzegłem nową pracę p. Wrzosa, pamiętając o jego dotychczasowych książkach, bez niepokoju zabrałem się do lektury 6 czy 7 z kolei „dziecka" wspomnianego dziennikarza, wierząc, że nawet tak trudny temat, jak postać Wielkiego Budowniczego Polski i Jego ludzi, zostanie przez „polskiego knickerbockera" rozwiązany po mistrzowsku.

Nie omyliłem się.

Wrzos raz jeszcze spisał się gracko, gorzej natomiast wygląda Główna Księgarnia Wojskowa... Nie mam tu oczywiście na myśli szaty graficznej książki. Złożona ładnym, czytelnym pismem, uzupełniona dobrymi ilustracjami rotograwiurowymi, mądrze rozwiązana graficznie, zamknięta wreszcie w szlachetnie prostej okładce, pod tym względem nowa książka Wrzosa jest zarazem pozycją dodatnią, jak i ujemną.

I tu właśnie zbliżamy się do gaffy Głównej Księgarni Wojskowej.

Książka tak wydana, siłą rzeczy nie może być tania, a tymczasem *„Piłsudski i Piłsudczycy" to elaborat w 100% propagandowy.*

Orientując się trochę w literaturze propagandowej Rosji i Niemiec, znając dokładnie niemowlęcą literaturę propagandową Polski, mogę śmiało zaryzykować twierdzenie, że książka Wrzosa jest w tej dziedzinie... majstersztykiem.

Napisana łatwym językiem, zaprawiona sporą dawką szlachetnego patosu, uzupełniona pasjonującymi obrazkami, jak chociażby opowiadanie ś. p. gen. Orlicz-Dreszera, Adama Koca, Walerego Sławka, Jura-Gorzechowskiego, Patka i in., napewno cieszyłaby się olbrzymim powodzeniem, gdyby puszczono ją na rynek księgarski w tanim, popularnym wydaniu,

gdyby kosztując powiedzmy 80 gr. mogła dosłownie trafić... pod strzechy. I właśnie tam byłaby... właściwą książką na właściwym miejscu.

Zrobiono inaczej. Zrobiono źle. Bo oto czytelnik bardziej wybredny, bardziej krytyczny, bez trudu z książki Konrada Wrzosa wyłuska cenne ziarna. Nie przeoczywszy ani jednej litery, ani jednego słowa

przeczyta kapitalny wywiad z Marszałkiem, wywiad taki, jaki tylko właśnie Marszałek mógł dać, trudny dla dziennikarza wywiad nie z łaknącym popularności człowiekiem, a z Geniuszem.

Z zainteresowaniem przeczyta to, co powiedział p. Wrzosowi Pan Prezydent Rzeczypospolitej, p. Gen. Sosnkowski i... dalej zacznie się mniej lub więcej zżymać czy wręcz denerwować.

Im dalej bowiem w... las, tym mniej znaleźć będzie można wartościowych ziaren, tym rzadziej usłyszy się nutę szczerości, ujrzy prawdziwe oblicze, zobaczy człowieka!

Podczas, gdy na pierwszych kartach książki mówiły do nas słowa wielkich mężów Rzeczypospolitej, słowa oryginalne, jedynie spięte klamrami czystej roboty dziennikarskiej, dalej coraz częściej spotykać się będziemy z...

rekonstrukcją, z propagandowym frazesem, który w żadnym razie nie potrafi do nas przemówić, ani też nas przekonać.

Bo, mój Boże — Piłsudczycy z książki Konrada Wrzosa są przedziwnie jednomyślni. Niestety, po za kartami książki, jednomyślność tych ludzi, którzy wszakże w życiu naszym od kilkunastu lat zajmują czołowe stanowiska... rozwiewa się jak mgła. Mamy przecież oczy otwarte, potrafimy patrzyć i widzieć, że zamiast jednomyślności ludzi z książki, ludzi żywych cechuje przedziwna rozbieżność, doprowadzająca do bezustannych utarczek między sobą.

Piłsudczycy Wrzosa są bardzo mądrzy. Nie twierdzę, że jest inaczej, zastanawia mnie tylko, dla czego ci tak nawskroś mądrzy ludzie po dziś dzień, od chwili gdy zabrakło Marszałka, nie zbudowali jakiegoś programu, na którym mogłaby Rzeczpospolita oprzeć się, niby na betonowych fundamentach...

Piłsudczycy Wrzosa są nawskroś ideowi i... trudno doprawdy pojąć jak w życiu można pogodzić ideę z rozpasaną korupcją, której widome dowody nieomal co dnia przynosi prasa w postaci rozlicznych dochodzeń dyscyplinarnych, aresztowań, procesów zwykle ludzi, o których

zanim trafili za kraty czy na ławę oskarżonych mówiło się: „To wybitny Piłsudczyk!"

I tu właśnie nasuwa się nieodparcie konkluzja, że tych ludzi, którzy tak pochopnie przedstawiają się jako... Piłsudczycy,

z Wielkim Marszałkiem nie łączy właściwie nic poza Jego Imieniem.

Bo jeśli spojrzymy po świecie, jeśli obok Wielkiego Marszałka ośmielimy się postawić wielkich wodzów innych krajów, to cóż zobaczymy— Mussolini niema... mussoliniczyków, ma za to faszyzm, Hitler — partję, Napoleon miał gwardję, która nie pyskowała, nie świeciła baki, a szła za swym wodzem w ogień,

tak jak za Piłsudskim w 1920 roku poszła w ogień cała prawdziwie polska Polska.

Konrad Wrzos, prezentujący czytelnikowi Piłsudczyków, wykazał raz jeszcze niezwykły talent. Podobnie jak Żeromski, którego ludzie przypominają wydmuchane, a pięknie umalowane skorupki od jajek, Wrzos pokazał nam ludzi bez treści, ludzi-frazesy. Każdy z nich szczyci się fotografiami Marszałka, a już specjalnie fotografiami z własnoręczną dedykacją Budowniczego Polski, każdy z nich ma w książce Wrzosa... jasne spojrzenie, ale cóż, kiedy ja osobiście od dziecka mam awersję do ludzi z... jasnym spojrzeniem, to nigdy nic dobrego nie wróży...

Reasumując, dla czytelnika bardziej krytycznie nastrojonego, ostatnia książka Wrzosa sprawia wrażenie albo pracy bardzo powierzchownie potraktowanej, albo też znamionuje to, co raczej jesteśmy skłonni w p. Wrzosie odnaleźć — niepowszedni talent, na którego karb prawdopodobnie również należy zapisać fakt, że poza gen. Sosnkowskim w książce „Piłsudski i Piłsudczycy" nie zabrali głosu prawdziwi i najbliżsi żołnierze Marszałka, którzy dzisiaj w spadku po Nim Polskę prowadzą,

ani Wódz Naczelny gen. Śmigły Rydz, ani Premier gen. Sławoj-Składkowski, ani min. spraw wojskowych gen. Kasprzycki.

Wydaje mi się, że fakt ten nie jest bez znaczenia, dla książki, którą nota bene warto przeczytać, już chociażby tylko dla tego, aby skonfrontować ją z... życiem.

Spectator.

*) Konrad Wrzos: „Piłsudski i Piłsudczycy". Główna Księgarnia Wojskowa.

Panie starosto

czekamy!!!

Opierając się na zarządzeniu p. Komisarza Rządu na m. st. Warszawę, woj. Jaroszewicza, który gorliwie zwalcza wszelkie objawy rozwielmożnionego w Warszawie, pod płaszczykiem najróżniejszych imprez społecznych — kartograjstwa, „WIEM WSZYSTKO" w trzech kolejnych numerach (25, 6 i 7 z dn. 12, 19 i 26 lipca r. b.) zwróciło uwagę na istniejącą w Warszawie spelunkę karcianą pod f-mą Stowarzyszenie Kobiet Pracujących Umysłowo.

Naświetlając tę, arcy-niedwuznaczną imprezę, byliśmy przeświadczeni, że przyczynimy się do likwidacji imprezy karcianej, w wysokim stopniu szkodliwej. W przeświadczeniu tym utwaliło nas zarówno ustosunkowanie się do podobnych imprez p. wojewody Jaroszewicza, o czym mówimy wyżej, jak i informacje urzędnika Kom. Rządu m. st. Warszawy p. Mościbrodzkiego, który zakomunikował nam, że sprawą zajęła się instancja wykonawcza, t. j. starostwo grodzkie śródmiejsko-warszawskie, które zarządziło lustrację dziwnej „organizacji":

O fakcie tym zawiadomiliśmy naszych czytelników notatką zamieszczoną w nr. 27 „WIEM WSZYSTKO". Niestety, dopiero dzisiaj widzimy, że przedwcześnie przesądziliśmy załatwienie tej nad wyraz przykrej sprawy.

Od dnia opublikowania wspomnianej notatki mija już drugi miesiąc. Paniusie „umysłowo pracujące" przy zielonych stolikach przeniosły się z Bagateli t. j. z terenu starostwa śródmiejsko-warszawskiego, do prywatnego mieszkania p. adwokata Paprockiego Marszałkowska 147, którego małżonka jest „prezeską" kartograjskiego stowarzyszenia. Nowy lokal znajduje się na terenie starostwa południowo-warszawskiego, gdzie raz już zajmowano się tą nader podejrzaną imprezą.

Niechce nam się wierzyć aby i w danym wypadku spelunka istniała tylko dzięki „specjalnym stosunkom, byłaby to wówczas wyjątkowo afera. Nieprzyjemna, wymagająca natychmiastowej likwidacji.

A może my się mylimy? Może Stowarzyszenie Kobiet Pracujących Umysłowo nie powstało jedynie i wyłącznie dla uprawiania kartograjstwa, może lokal tego „stowarzyszenia" nie jest najzwyklejszą w świecie spelunką karcianą z talentem administrowaną przez p. mecenasową Paprocką?

Dlaczego w takim razie po dziś dzień nie otrzymaliśmy ani sprostowania, ani też nie wytoczono nam procesu o zniesławienie?..

Od Wydawnictwa

Z dn. 1 listopada r. b. ustępuje ze stanowiska głównego kierownika Redakcji „WIEM WSZYSTKO" p. Włodzimierz Popławski. Od dnia tego całkowite kierownictwo Redakcji spoczywa w rękach p. Henryka Siecińskiego.

Upiorny szpital SS. Elżbietanek

Wierzbno czeka na likwidację „trupiego jeziorka"

Warszawa jest niewątpliwie miastem o wielkich możliwościach, a jeszcze większych zresztą w wielu wypadkach raczej zdrowych — ambicjach. Mówi się w tym pięknym grodzie dużo o Europie, o Zachodzie, o Warszawie przyszłości, o Warszawie w kwiatach, o Warszawie-bombonierce, która już niezadługo stanie się dzięki niestrudzonej energii prezyd. Starzyńskiego jednym z piękniejszych miast Europy...

Zanim to jednak nastąpi, z właściwą sobie „wścibskością" zajrzyjmy za kulisy niezwykłego skandalu, jaki rozgrywa się nie gdzieś tam w zapomnianej przez Boga i ludzi dzielnicy robotniczej, a w super wytwornej, na luksusowe pałacyki przeznaczonej dzielnicy willowej na Wierzbnie. W tej to dzielnicy zupełnie niespodzianie, wtedy, gdy już większość placów była zakupiona przez osoby prywatne, stanął za pieniądze centrali we Wrocławiu szpital SS. Elżbietanek.

Można by oczywiście dyskutować na temat:

czy urzędnik wydający zezwolenie na budowę szpitala właśnie w dzielnicy willowej, nieskanalizowanej, był przy zdrowych zmysłach, czy raczej nie.

Ponieważ jednak szpital już stoi, więc... trudno.

Ale oto następuje drugi, jeszcze bardziej niezrozumiały fakt. Wspomniany teren należy do t. zw. dzielnic o zabudowaniach luźnych, to zn. takich, które muszą być oddalone conajmniej o kilka metrów od granicy sąsiada. Zdawałoby się, że przepis jest jasny i sympatyczne SS. Elżbietanki z Wrocławia nie będą nawet próbowały naruszyć go. Złudzenie!

Któregoś dnia do parkanu otaczającego willę sąsiadującą bezpośrednio ze szpitalem SS. Elżbietanek, a stanowiącą własność pp. Zaborowskich, od strony tegoż szpitalu przylgnął niepozorny, murowany budyneczek. Zaintrygowany przeznaczeniem tego budyneczku, inżynier prowadzący budowę willi p. Zaborowskich, wraz z właścicielem willi zwrócili się do administracji szpitala z zapytaniem na jaki cel przeznaczony jest budynek przylegający do parkanu willi,

a od samej willi oddalony o najwyżej trzy metry.

Zarząd Szpitala zakomunikował wówczas, że w budyneczku będą przechowywane.... narzędzia ogrodnicze.

Jakież było zdumienie i przerażenie lokatorów sąsiedniej willi, gdy po pewnym czasie stwierdzili, że czerwony budyneczek kryje poprostu... kostnicę, do której co i raz z budynku szpitalnego przenosi się

na otwartych noszach trupy, ledwie okryte prześcieradłem,

które nota bene często zwiewa wiatr ukazując oczom mieszkańców willi widoki dalekie od... radości życia. Nie trzeba się dziwić, że w tych warunkach bezpośredni sąsiedzi szpitala pp. Zaborowscy, a zwłaszcza ich dzieci, cierpią na silny rozstrój nerwowy, potęgowany z dnia na dzień makabrycznym sąsiedztwem. Nie poruszalibyśmy mimo to tej sprawy, uważając, że są na to inne drogi, gdyby nie dwa dalsze, równie zdumiewające, jak oburzające fakty.

Oto, chociaż ul. Godebskiego przy której znajduje się szpital SS. Elżbietanek jest już całkowicie skanalizowana, szpital nie chce przyłączyć się do przewodów kanalizacyjnych, a z wielkiego szambo, znajdującego się w kostnicy, trzy razy dziennie wypompowywana jest bezpośrednio na ulicę cuchnąca zawartość, która tworzy na ulicy,

pod oknami sąsiednich willi rozlewisko o powierzchni prawie 50 m. kwadratowych.

Można sobie wyobrazić jak przyjemne jest takie „trupie jeziorko" zwłaszcza w okresie letnich upałów. Rozlewisko, to, nota bene jest idealną wylęgarnią szczurów, których stale zwiększające się kohorty są koszmarnem utrapieniem mieszkańców sąsiednich posesyj.

Dn. 13 lipca 1935 roku, na skutek interwencji Ministerstwa Spraw Wewn., urząd inspekcyjno-budowlany dokonał inspekcji zabudowań szpitala SS. Elżbietanek i stwierdziwszy, że w budynku, oznaczonym w planie, jako skład narzędzi ogrodniczych mieści się... trupiarnia,

nakazał likwidację tegoż budynku w przeciągu 14 dni.

Gdy po upływie tego terminu zgłosił się do szpitala kierownik XVI komisariatu P.P., stwierdził, że budynek stoi jak stał, a zainterpelowana w tej sprawie administracja szpitala wytłumaczyła fakt ten:

„wielkiemi stosunkami u władz zwierzchnich",

dając do zrozumienia, że stosunki te uwalniają szpital od wykonywania zleceń Urzędu Inspekcyjno-Budowlanego...

Ponieważ od roku 1933 okoliczni mieszkańcy złożyli w sprawie makabrycznego szpitala przeszło 20 podań do władz administracyjnych, ponieważ większość tych podań nie była wogóle rozpatrzona, zdaje się, że administracja szpitala SS. Elżbietanek nie minęła się z prawdą o swych stosunkach.

Jeśli jednak tak jest, to jest to poprostu skandal, który można zlikwidować albo w ten sposób, że w bezpośredniem sąsiedztwie makabrycznego szpitala wystawi sobie willę jakiś dygnitarz Zarządu Miejskiego i na własnej skórze odczuje te koszmarne praktyki czcigodnych SS. Elżbietanek, albo też na ul. Godebskiego któregokolwiek dnia zawita ktoś bardziej energiczny, a mniej obawiający się „stosunków" SS. Elżbietanek i

radykalnie, po swojemu „w try miga" zlikwiduje haniebną aferę, wystawiającą jaknajgorsze świadectwo czynnikom dotychczas w tej przykrej sprawie decydującym.

Oko.

Al Capone w spódnicy

Ciocia Tenenbaumowa na ławie oskarżonych

Lwów, w październiku.

W niedalekiej przyszłości Sąd Okręgowy we Lwowie prześwietli mroki karygodnych machinacyj podatkowych, narażających zarówno osoby prywatne, jak i przede wszystkim Skarb Państwa na olbrzymie straty.

Smutną bohaterką niezbyt wonnej rozprawy będzie

znana we Lwowie Fryderyka Tenenbaumowa,

której WIEM WSZYSTKO w swoim czasie poświęciło wiele miejsca, naświetlając w nr. 19, 20 i 21 oszukańcze praktyki „cioci" Frajndli, w wyniku których Skarb Państwa został narażony na poważne straty, a spólnik tejże Tenenbaumowej wpędzony w poważne perypetie materialne.

Nie mogąc sobie dać rady ze złośliwą, a przebiegłą ex-wspólniczką, popularny współwłaściciel café-dancingu „Adria" Fr. Moszkowicz wystąpił z powództwem przeciwko wyrafinowanej krętaczce, która

prowadząc od kilku lat na własny rachunek dancing „Femina", a następnie „Casino de Paris",

nie ujawniła ani wobec władz skarbowych ani też wobec wierzycieli, że Moszkowicz do spółki już nie należy...

Gdy doszło do wymiaru podatku, władze obarczyły nim całkowicie... Moszkowicza, Tenenbaumowa bowiem w międzyczasie przepisała całe przedsiębiorstwo przez siebie od lat prowadzone, wpierw na męża, a po tym na imię...

materialnie zupełnie nie odpowiedzialnej córki Heleny.

Narażony na poważne komplikacje finansowe, a Bogu ducha winien ex-wspólnik Tenenbaumowej wystąpił więc do sądu o uznanie, aktu darowizny Fryderyki Tenenbaumowej na rzecz córki Heleny za fikcyjny.

Do sensacyjnej sprawy, która być może stanie się wreszcie punktem zwrotnym w podobnych,

coraz częściej stosowanych łajdackich machinacjach,

powołano szereg świadków. Niezależnie od powództwa cywilnego, szereg pokrzywdzonych przez Tenenbaumową wierzycieli,

wszczyna przeciwko niej procesy karne,

które niewątpliwie nie przysporzą sławy sędziwej, a wyrafinowanej kombinatorce, która potrafiła wywieść w pole nawet lwowskie władze skarbowe, narażając je na straty idące w dziesiątki tysięcy złotych.

W ostatniej chwili dowiadujemy się że córka „cioci" Frajndli — Helena Tenenbaumówna, na której imię troskliwa mama przepisała całe przedsiębiorstwo,

zaręczyła się z dr. Lachsem.

Fakt ten dał okazję przebiegłej kombinatorce do nowych machinacyj, polegających na tym, że usiłowała ona oprócz 60.000 zł. posagu, przepisać na imię córki... część kamienicy przy ul. Rejtana 3. Na szczęście, składając powództwo przeciw Tenenbaumowej, ex-wspólnik przewidział dalsze krętactwa i uzyskał zabezpieczenie sądowe, przez które

nowa afera Tenenbaumowej spaliła na panewce.

Niezwykłe machinacje „cioci" Frajndli zdobyły jej we Lwowie miano: „Al Capone w spódnicy". Niestety, Al Capone, „cieszy się" w swej ojczyźnie mniejszemi względami, bo oto czytamy w jednym z dzienników:

Licytacyjna sprzedaż pałacu Al Capon'a nastąpiła na żądanie władz skarbowych, które w ten sposób chciały „odbić" sobie straty, poniesione przez to, że Al Capone nie zapłacił obawiązujących go podatków dochodowych, za co, jak wiadomo, musiał powędrować do więzienia. Mimo, że pałac Al Capone'a w Biami Beach jest formalną własnością żony uwięzionego bandyty, mrs. Mae Capone, władze rządowe obłożyły go konfiskatą, motywując to tem, że siedziba „Iland Estate" została przez Al Capone'a przepisana na żonę poto tylko, aby nie mogły jej zagrnąć za długi władze podatkowe.

Miejmy nadzieję, że równie surowo ustosunkują się do oszukańczych wybryków „cioci" Frajndli, godnej naśladowczyni amerykańskiego Al Capone, nasze nadspodziewanie cierpliwe władze skarbowe.

Najpikantniejszym szczegółem w tej całej aferze jest fakt, że dzięki misternym machinacjom,

od roku 1930 Tenenbaumowa wogóle nie płaci podatku dochodowego

(obrotowy musiał zapłacić ex-wspólnik...), a wszelkie próby pociągnięcia sędziwej kombinatorki do odpowiedzialności,, konsekwentnie spełzają na niczem, bowiem w żaden sposób nie można właścicielce i kierowniczce „Casino de Paris",

gdzie noc w noc przesiaduje... wręczyć wezwania!

Czy to nie zakrawa na mocno podejrzaną groteskę? *Lwowianin.*

POCIESZAJĄCY OBJAW

Wobec wyraźnie zarysowującej się poprawy konjunktury gospodarczej kraju, pismo nasze, czułe na wszelkie odkonywujące się w życiu społecznym przemiany, podjęło inicjatywę przeprowadzenia na swych łamach odpowiednich we wskazanym kierunku studiów.

Pragnąc dotrzeć do środowiska, które naszym zdaniem, najlepiej odzwierciadla tę poprawę, rozpoczęliśmy przede wszystkim wędrówkę po składach i sklepach warszawskich.

Bezstronnie przyznać należy, że pierwsza próba, dokonana przez naszego sprawozdawcę w tym zakresie, dała wyniki nader zadawalające, dobitnie świadczące o fakcie, iż tak zwane odprężenie stosunków handlowych naprawdę nastąpiło.

Jest to objaw bardzo pocieszający, który powitać należy ze szczerym zadowoleniem.

Wymownym tego dowodem jest znany z solidności w szerokich sferach kupieckich i mieszkańców stolicy, mieszczący się przy ulicy Bielańskiej 19, komfortowo urządzony skład firmy H. Goldkopf.

Bogaty w najwybredniejsze desenie asortyment towarów najwyższej jakości, fachowa i uprzejma obsługa oraz — co najważniejsze — sprężyste kierownictwo, zdające sobie dokładnie sprawę z wymagań chwili — oto niewątpliwie główne czynniki, które przyczyniły się do niezwykłego powodzenia rzeczonej firmy.

Jeżeli zauważymy, iż nagłe odwiedzenie wymienionego składu przez naszego sprawozdawcę, i to w czasie nie rokującym dużego napływu kupujących, skonstatowało jednak niezwykły ruch, to jest to bezprzecznie ważkim argumentem, przemawiającym za uzasadnionym stwierdzeniem tej poprawy.

Warto przy sposobności zaznaczyć, że wymieniona firma poraz pierwszy rozpoczyna dn. 2 listopada b. r. wyprzedaż posezonową. Radzimy więc korzystać z nadarzającej się wyjątkowej okazji.

Z prawdziwą satysfakcją nasz sprawozdawca opuścił tę godną poparcia placówkę handlową, życząc jej dalszego trwałego rozwoju.

B.

Czcionki na wagę

Smutne dzieje wspaniałych zakładów drukarskich

Różnego rodzaju spotyka się upadłości handlowe na świecie. Są takie upadłości, na których zarabia „upadły" właściciel, są również i takie na których wierzyciele nic nie tracą.

Nie zdarza się jednak prawie nigdy, aby tracili na upadłości firmy handlowej biedni pracownicy, ludzie Bogu ducha winni. Zawsze bowiem syndyk masy upadłości w pierwszym rzędzie stara się zaspokoić pretensje ludzi pracy.

MARYNARZ — SYNDYKIEM

Inaczej się jednak przedstawia *sprawa masy upadłościowej olbrzymich zakładów graficznych Braci Koziańskich w Warszawie.*

Firmie tej, posiadającej o wielomilionowej wartości nieruchomości, maszyny, materiały drukarskie i t. p. ogłoszono upadłość jeszcze w lipcu b. r.

Był to wielki cios, zwłaszcza dla przeszło 150 pracowników tych zakładów, którzy stanęli przed widmem bezrobocia.

Chwilowe nadzieje obudził mianowany *syndyk masy upadłości p. Marian Piotrowski.* Sądzono bowiem że inne kierownictwo zdoła jeszcze zamierające warsztaty ożywić.

Okazało się jednak inaczej. Syndyk bowiem p. Marian Piotrowski, znakomity zapewne swego czasu oficer ochotniczej marynarki handlowej floty rosyjskiej, i jeden z dyrektorów żeglugi rzecznej w Polsce, nie stanął na wysokości zadania.

DŁUGI ROSNĄ

Do czasu objęcia przez syndyka kierownictwa zakładami drukarskimi B-ci Koziańskich, *same pretensje pracownicze wynosiły przeszło 120 tysięcy złotych.* Pretensje te zostały sądownie uznane za dług uprzywilejowany.

Przez paromiesięczne rządy syndyka Piotrowskiego, jego zastępcy prawnego p. Halperna i p. Frydrycha, *dług ten nie tylko nie zmalał, ale jeszcze powiększył się o sumę około 20 tysięcy złotych.*

Na poczet tego olbrzymiego długu pracowników, *syndyk dotychczas wypłacił około 1500 zł.* płacąc przeciętnie jednostce do 32 zł. i to jeszcze w 3 ratach.!

Tak np. jednemu z pracowników należało się od zakładów 315 zł. Syndyk na poczet tej należności dał mu raptem w 3 ratach 32 złote!

RABUNKOWA GOSPODARKA

Zakłady graficzne B-ci Koziańskich w Warszawie znane były ze swego znakomitego wyposażenia.

Z prawdziwym też zdziwieniem dowiadujemy się o *dewastacyjnej gospodarce* Syndyka.

Nie wiemy coprawda nic o staraniach, jakie robi Syndyk upadłości, aby pozyskać dla rządzonych przez siebie zakładów roboty. Najchętniej bowiem dotychczas p. Syndyk *wynajmuje poszczególne maszyny i urządzenia drukarskie przygodnym zecerom i drukarzom z miasta na godziny.*

Zrozumiałe, że to kokosów nie daje.

Gorzej jednak, że p. Syndyk, ku wielkiej rozpaczy pracowników, stara się wyprzedawać maszyny i inny sprzęt drukarski.

CZCIONKI NA WAGĘ

Tak np. ostatnio p. Syndyk Piotrowski *sprzedał na wagę 15 tysięcy kilo materiałów drukarskich za sumę 4.500 złotych.*

W tych 15 tysiącach kilo były ponoć *wspaniałe czcionki zakładów* B-ci Koziańskich, o oryginalnym kroju, własnego rysunku

Sprzedano to wszystko, jak szmelc, wysypawszy z regałów na kupę.

Tymczasem szmelc w zakładach wyprzedany był jeszcze przed upadłością. Wyprzedawanie za tym oryginalnych czcionek, o pięknym kroju, na wagę, jest naprawdę więcej niż rabunkową gospodarką.

Wskutek tego rodzaju gospodarki, w zecerni ,w której mogło spokojnie pracować 100 zecerów, nie ma na czym pracować.

Rabunkowość gospodarki podkreśla jeszcze ostatnio *fakt sprzedaży 3 maszyn drukarskich płaskich za sumę około 10 tysięcy złotych!*

Jest to suma śmiesznie niska. Sprzedaż ich mogłaby jednak być zrozumiała wtedy, gdy gwałtownie potrzeba pieniędzy, a chętnych nabywców niema. Tymczasem było ponoć inaczej. *Jako jeden z chętnych nabywców występowała P. A. T-iczna.* Dawała ponoć ta instytucja o wiele lepsze warunki.

P. A. T-iczna jednak tych maszyn nie kupiła. Jak mówią, stanął na przeszkodzie tej tranzakcji p. Frydrych, prawa ręka syndyka Piotrowskiego, eks-pracownik P. A T-icznej i mający do tej instytucji jakieś pretensje.

Tego rodzaju gospodarką syndyk Piotrowski, ani p. Frydrych nie wykazują specjalnej troski o zakłady. Zawsze się znajdzie w wielomilionowej wartości zakładach graficznych coś do sprzedania, aby zaspokoić tysiąc złotowe pensje p. Frydrycha i ustaloną przez sąd gażę syndyka.

ODRZUCONE OFERTY

Martwią się jednak dewastacją swych warsztatów pracy biedni zecerzy, maszyniści i t. p. Widzą oni przecież, jak się coraz bardziej oddalają ich nadzieje na utrzymanie tej placówki, bądź to w formie dzierżawy, bądź też przejęcia całkowitego przez kogoś innego.

Dotychczas bowiem złożono syndykowi 8 ofert, w sprawie wydzierżawienia zakładów. Jednym z oferentów była znana firma „Lignoza". Wszystkie jednak oferty zostały przez syndyka odrzucone.

Godnym podkreślenia jeszcze jest niezwykle społeczne stanowisko zatrudnionych w tych zakładach pracowników.

Syndyk bowiem, chcąc sprzedać maszyny drukarskie, uzyskał od 11 pracowników (na 150 zatrudnionych) podanie o sprzedaż maszyn na uregulowanie należności. Podanie to przesłane zostało do sądu, który udzielił pozwolenia.

Na wieść o tym, wszyscy pracownicy *wysłali delegację do syndyka z prośbą o nie dewastowanie warsztatów.* Delegaci oświadczyli syndykowi, w imieniu swych kolegów, że gotowi są jeszcze cierpliwie czekać na spłatę swych należności, byle tylko nie marnować zakładów przez wyprzedawanie potrzebnego sprzętu i maszyn.

Syndyk delegacji nie wysłuchał. Maszyny sprzedał za 10 tysięcy, lecz spłacił pracownikom tylko 1500 złotych.

W ten sposób wytworzyła się dziwna sytuacja. Pracownicy zakładów, w słusznej trosce o ich los, dokładają wszelkich starań aby je ożywić, gdy kierownictwo idzie drogą najmniejszego oporu, wyprzedając urządzenie zakładów. *Staw.*

Świt, dzień i noc

Polskiej Policji Państwowej

W Kurjerze Czerwonym z dn. 20 b. m. czytamy taką wiadomość:

„Zarząd bibliotek policyjnych zakupił ostatnio wielką ilość dzieł najlepszej literatury polskiej. M. in.: przeszło 5.600 egzemplarzy poezji i prozy Mickiewicza, blisko 700 egz. Słowackiego, 500 egz. Krasickiego i co znamienniejsze — 262 dzieła Norwida.

Zakupów dokonano po stwierdzeniu, że policjanci coraz chętniej czytają literaturę prawdziwie piękną, odrzucając bezwartościową lub mało wartościową beletrystykę. Świadczy to, że praca kulturalno-oświatowa wśród policji wydaje owoce".

W numerze nowopowstałego dziennika prawicowego „Jutro" z tego samego dnia, znajdujemy następujące sprawozdanie sądowe:

„Przed rokiem do prokuratora w Siedlcach złożył skargę Władysław Ochota.

Opowiada on, że w listopadzie zeszłego roku wezwany został na posterunek policji w Rykach. Gdy tylko wszedł na posterunek, starszy przodownik Dąbrowski uderzył go dwukrotnie w twarz, poczem wraz z posterunkowymi Gałeckim i Berezeckim skuli mu ręce kajdanami, założyli je na kolana, wsunęli kij między kolana i ręce, przewrócili na ziemię zdjęli buty i skarpetki i przodownik Dąbrowski bił go pałką gumową po podeszwach a posterunkowy Berezecki zatykał usta skarpetkami.

Gdy Ochota zemdlał, policjanci ocucili go, wyjęli mu kij z pod kolan, kazali biegać po pokoju, bijąc go pałką. Gdy ponownie zemdlał, ocucili go skrępowali i podrzucali do góry upuszczając na ziemię. Po tym wszystkim zażądali, aby Ochota przyznał się do kradzieży u niejakiego Lusmana. A gdy tego nie chciał zrobić, Dąbrowski uderzył go w twarz. Ochota zgodził się przyznać, wówczas sprowadzono drugiego podejrzanego, Olka. W jego obecności Ochota nie chciał się przyznać, wobec tego Olka wyprowadzono, a Dąbrowski bił po twarzy Ochotę, tak długo, aż ten zgodził się zeznać. Gdy Ochota wobec nowego świadka Strumnika nie chciał powtórzyć przyznania znowu wyprowadzono świadka i zagrożono mu biciem. Wobec tego zeznania swoje jeszcze raz potwierdził. Dopiero po tym wszystkim puszczono go do domu, gdzie brat sprowadził do niego lekarza.

Sąd okręgowy w Siedlcach skazał Dąbrowskiego na rok więzienia, a Gałeckiego i Berezowskiego na 6 miesięcy".

*

„Na wczorajszej rozprawie apelacyjnej sprawę umorzono na mocy amnestji".

Te kanalie chyba jeszcze nie korzystały z wspomnianych książek!... *(P.)*

Znaczna poprawa sytuacji węglowej

Jak się dowiadujemy z najbardziej wiarogodnego źródła, unormowanie cen węgla opałowego w sprzedaży hurtowej zostało wreszcie załatwione w sensie pozytywnym, co niewątpliwie ogół konsumentów powita ze szczerym zadowoleniem. Stosownie do powziętej decyzji, ustalono za tonnę węgla najlepszego (klasy I-ej) obowiązującą na cały okres zimowy stałą cenę zł. 43.50 loco piwnica konsumenta.

Dla ścisłości warto nadmienić, że w przemyśle węglowym istnieje 6 gatunków węgla (klasy I-a — VI), z których zasadnicza cena węgla najlepszego (klasy I-a) notowana jest po cenie zł. 26.30, a najniższego zł. 21.40 za tonnę loco kopalnia.

Celem ścisłego przestrzegania przez sprzedawców — hurtowników ustalonych cen, powołana została z ramienia Konwencji Węglowej, przy wydatnym poparciu Ministerstwa Przemysłu i Handlu, do życia specjalna Komisja, której zadaniem będzie zapobieganie wszelkim nadużyciom, i wykroczeniom, jawnie godzącym w całość wzmiankowanego postanowienia.

To też każda próba przekroczenia przez sprzedawców ustalonych cen jest bezwzględnie świadomą spekulacją, która, w myśl orzeczeń premiera, będzie z całą surowością prawa karana.

Ciekawe są zestawienia, wykazujące **istotne zyski sprzedawców — hurtowników.** Otóż jeżeli do wyżej oznaczonych cen zasadniczych dodamy koszty przewozu, wynoszące w przybliżeniu zł. 12.— za tonnę, dwukrotne manco: a) stwierdzone na stacji kolejowej i b) na składzie sprzedawcy-hurtownika, które to manco, wytwarzając dzięki wpływom atmosferycznym, miał znacznie tańszy od węgla, często dochodzi do 15—20, a nawet 30%, oraz koszta administracji, obciążenia socjalne, jak również inne nie przewidziane wydatki, to otrzymamy w wyniku obraz, ilustrujący naprawdę minimalne zarobki hurtowników, którzy widocznie pracują w myśl niewzruszonej zasady — duży obrót — mały zysk, co zasługuje na uznanie.

Sfery blisko stojące przemysłu węglowego z niesłabnącą uwagą obserwują obecnie od dawna nie notowany pocieszający fakt, używania opału węglowego na wsi i w majątkach ziemskich, co niewątpliwie jest jaskrawą oznaką znacznego polepszenia sytuacji w rolnictwie, który to stan ze szczególnym naciskiem należy podkreślić.

Od pewnego czasu zauważyć się daje w przemyśle węglowym niezwykle ożywienie, spowodowane najwyraźniej dużym dopływem zapotrzebowań na węgiel z najbardziej uprzemysłowionych ośrodków kraju.

Jest to bezprzecznie najlepszym wskaźnikiem, że w przemyśle węglowym dokonały się ostatnio pomyślne przemiany. *G.*

Zabawny projekt

Satyryka francuskiego

Znany satyryk francuski i stały współpracownik dziennika paryskiego „L'Oeuvre" G. de la Fouchardière zastanawia się w sposób jemu właściwy nad projektem nadesłanym do redakcji wspomnianego dziennika przez „Un citoyen conciliant" w sprawie przystosowania rozmiarów poszczególnych części tricolore francuskiej flagi narodowej, a to stosownie do zapatrywań politycznych dzierżących w danych okolicznościach tę flagę.

Dla zwolenników prawicy proponuje obywatel ten wąski pas niebieski, bardzo wąski pas czerwony, a najszerszy biały.

Dla „czerwonych"... najszerszy miałby być, rzecz jasna, czerwony pas, mniej szeroki niebieski a już całkiem wąski pas biały.

Centrum: mieć winno znów niebieski najszerszy, i równo wąskie czerwony i biały.

W ten sposób spodziewa się ów „Citoyen conciliant" zadowolnić wszystkich.....

(a)

Z Żydami o Żydach

„WIEM WSZYSTKO" na pokładzie „Polonii"

Na „Polonii"

Jeszcze kotłuje się denerwująca wrzawa portowa, jeszcze jakiś zapóźniony pasażer użera się z rumuńskimi celnikami nie baczmy na to, że woła do nich w żargonie, podczas, gdy oni odpowiadają po rumuńsku, jeszcze stromą schodnią pełzają nadludzko obładowani tragarze, ale to już ostatnia fala. Cisza uśpionej Constanzy zagarnia w swe władanie i port.

Obojętnie, bez wyrazu wpatrują się w biały kadłub „Polonii" oczy celników, policjantów, straży granicznej. Z niepokojem na nich wszystkich zerkają do burty przylepieni pasażerowie statku.

POLSCY ŻYDZI

Bo pomijając zrozumiałe podniecenie, większość tych ludzi po raz pierwszy zamienia stały ląd na... okrętowy pokład. Większość tych ludzi, to polscy Żydzi, emigrujący do Palestyny. Wnieśli na połyskujący czystością pokład jakieś przeraźliwe toboły, jakieś monstrualnie wypchane kosze, żałośnie obdarte walizki, wnieśli specyficzny zapaszek i jeszcze bardziej specyficzną biedę emigrancką. I chociaż odpędzają ich od burty, wracają do niej z uporem pijaka,

aby wczepić się oczyma w szary masyw dworca

portowego, w twarze tych ludzi, którzy... zostają...

„Polonia" jest ponoć jednym z najstarszych statków naszej floty handlowej, daleko jej już nie do luksusu „Piłsudskiego" czy „Batorego", ale nawet do zgoła przeciętnych obcych statków pasażerskich, a przecież jednak...

POCHWAŁA „POLONII"

Biję się w piersi. Wsiadałem na pokład „Polonii" obładowany dużym ładunkiem sceptycyzmu. Bądź co bądź — statek należący do uprzywilejowanej w kraju linii, bądź co bądź gros pasażerów — żydowscy emigranci, przyznaję się, że ostrzyłem sobie ...Underwooda na zjadliwe przycinki, którymi zamierzałem pokwitować wszystkie spotkane na „Polonii" niedomagania.

Ba, nie spotkałem ani jednego. Statek, od „paradisu" luksusowych kabin, aż po niziny III-ej klasy *jest rozkosznie czysty i zawstydzająco jak na polskie stosunki dobrze zorganizowany.*

A już najważniejsze, że nie ma na jego pokładzie tak typowego naciągania podróżnych, zwłaszcza emigrantów nie ma łajdackiego wykorzystywania ich nieświadomości, nie ma skąpstwa, ni sztywnoty. Ta nasza „Polonia" ze swą idealnie zgraną załogą, ze swymi super-europejskimi oficerami-poliglotami, ze swą iście staropolską wystawnością, jest miłą niespodzianką, świadczącą o tym, że Linia Gdynia—Ameryka potrafiła stanąć na wysokości zadania. I chociaż mam w swym dorobku włóczęgi na statkach niemieckich, francuskich, fińskich czy greckich, *nigdzie mi nie było tak dobrze, kochany komandorze... jak na Pańskiej*

statkowinie — „Polonii".

Nie byłem w swym zadowoleniu odosobniony. Ludzie rozkoszowali się. Bielą zaczerwienione oczy małomiasteczkowych Żydów nie błądziły po bezkresie horyzontu. Z maniackim uporem wpatrywały się w ten gościnny, schludny statek, który miał być ostatnim może etapem ich wędrówki.

PONURA SPOWIEDŹ

Bardzo mały i bardzo brzydki, latami przygarbiony Żyd o niepokojąco... sarmackim wąsie, opowiadał mi o swych mordęgach nad zdobyciem możliwości wyjazdu do Palestyny. Te „możliwości" to nietylko pieniądze, to jeszcze chiński mur przepisów władz angielskich, to cała gehenna najperfidniejszych przeszkód.

— I jak ja już miałem wszystko na 95% załatwione, już nawet wpłaciłem pieniądze za bilet, żeby nic znów nie przeszkodziło, to przylecieli ludzie z Mińska Mazowieckiego. To od nas niecałe 10 kilometrów, i mówili, że pogrom, i mówili, że wojsko wiesza Żydów, i mówili, że chłopy idą do nas... — głos jego dotychczas chrapliwie normalny, nagle zaczyna stukotać jak uderzenia dwuch drewien. Żona chciała odrazu uciekać, ale mnie jeszcze mieli dać pieniądze, to jak ja miałem uciekać? A wieczorem tośmy widzieli łunę i coraz więcej ludzie mówili, że i u nas też będą żydowskie domy palić...

Patrzę na jego spierzchnięte, blade wargi poruszające się z niezwykłą szybkością, patrzę na białe ściany statku, na lekko sfalowaną, zieloną toń Czarnego Morza, na niepokalany błękit przestworzy i w tym pełnym spokoju obrazie jakoś nie mogę znaleźć miejsca na koszmar zasłyszanego opowiadania.

W pewnej chwili wyrywa mi się mimowoli:

— W Palestynie też walki...

Kręci głową.

WIZJA PRZYTYKU

— To co? My tam coś znaczymy, możemy bronić się, możemy mieć karabiny, możemy strzelać!

Mówi „strzelać", a ja słyszę: Przytyk. I patrzę

z... szacunkiem na tego starego, odrażającego Żyda. Będzie w swej ziemi jednostką równie pożyteczną, jak chaluc-młodzieniaszek, niby zażarte szczenie odgryzający się Arabom.

Ale znów nasuwa mi się przed oczy... Przytyk. Jakże trudno zdobyć się na sprawiedliwość.

Większość emigrantów, to jednak młodzież żydowska. Dałbym głowę, że wielu z pośród nich spotkałem, obserwując pochody socjalistyczne, czy masówki komuny. Dzielę się tym spostrzeżeniem z młodym adwokatem-Żydem, który już od paru lat prowadzi kancelarię w Tel-Aviw'ie, dokąd wraca teraz od rodziny ze Lwowa.

— Tak, ma pan słuszność, — przyznaje mi rację, — ale w Palestynie oni zmieniają się gruntownie. Kijami ich nie zapędzą do komuny, chociaż, jeśli pan kiedykolwiek zajrzy do nas, — to „do nas", wypowiedziane jest nie bez odcienia dumy, — to spotka się pan, zwłaszcza na wsi z wielu objawami do złudzenia przypominającymi wzory komunistycznej gospodarki rolnej.

DROGA DO KOMUNY

— Cóż więc sprawia, że w Polsce ta młodzież tak chętnie idzie do komuny? — pytam zaintrygowany.

— A gdzież ma iść? Bądźmy szczerzy, w dzisiejszych czasach młody Żyd, nawet nie koniecznie z proletariatu, coraz częściej staje przed straszną prawdą, że... nie ma dla niego miejsca.

Nie ma on prawa do wolnych zawodów, i niema do straganu, do urzędów i do rolnictwa. Wszystko jest przed nim zamknięte, poza... partią komunistyczną,

a że jest mu bardzo źle, myśli więc że gorzej być nie może nawet między komunistami. Zapewniam pana, że gdyby miał czego bronić, gdyby mógł na coś liczyć, poza... pałką i kastetem, końmi nie zaciągnęliby go do komuny. I właśnie Palestyna, jest tego najlepszym przykładem.

— Ma pan niewątpliwie dużo racji, ale Komunistyczna Partia Polski wykazywała olbrzymi procent Żydów nawet wówczas, gdy u nas nie było jeszcze tak rozbudowanego antysemityzmu...

— Ale zawsze był proletariat żydowski, proletariat, którego nędza jest bodajże gorsza od nędzy... chińskich kulisów. Ten proletariat był siłą rzeczy materiałem dla komuny najpodatniejszym, dzisiaj uzupełnili go ci wszyscy Żydzi, którym rosnący antysemityzm odebrał prawo egzystencji.

Z horyzontu wyrastają ciemnogranatowe plamy, które powoli przekształcają się w płowo-zielone stoki górskie, tworzące jakgdyby bramę wjazdową do Bosforu.

NA TURECKICH WODACH

Tylu ludzi przede mną zachwycało się wjazdem na tureckie wody, że... zrezygnuję z superlatywów. Przez lornetkę widzę, że na brzegu azjatyckim buduje się już nad morzem droga, że poniżej garstki domostw uczepionych stromych wzgórz na betonowym, jakgdyby pomoście, obok masztu na którym powiewa szkarłatna chorągiew z białym półksiężycem i gwiazdą,

sterczą dwie bardzo stare i bardzo niegroźne armatki, prawdopodobniej przydatne raczej do powitalnych salutów, niż... akcji bojowej.

Po prawej stronie rośnie coraz więcej domostw, gęścieją z minuty na minutę. „Polonia" zatrzymuje się na chwilę, aby ułatwić wejście na pokład celnikom, lekarzowi i policji tureckiej.

Cały ten sztab rozsiada się wygodnie w „fumoirze" i rozpoczyna „amcenie", bardzo skrupulatnie badając dokumenty tych wszystkich pasażerów, którzy mają wysiąść w Stambule.

Wjeżdżamy na wody Złotego Rogu. Turcja wita nas smukłymi iglicami minaretów, naciąganiem przywoźników, którzy z pokładu „Polonii" dostarczają garstkę podróżnych do portu i bardzo skrupulatną rewizją celników.

Włodzimierz Popławski.

„SARMATA" W OPAŁACH

Dziwne perypetie wydawnicze

W ostatnich czasach jesteśmy świadkami szczególnego urodzaju partii i stronnictw politycznych. Mówią wtajemniczeni, że jak tak dalej pójdzie, to spopularyzuje się w Warszawie przysłowie: u nas co ulica — partyjna kaplica.

Z odprysków Stronnictwa Narodowego, Narodowej Partii Robotniczej, O.N.R., a nawet i ewertowskiej Partii Pracy zrodził się w kwietniu r. b. *nowy potworek polityczny p. n. „Obóz Radykalny Sarmatów".* Jakkolwiek grupa ta pod względem politycznym niczym się nie różniła od Stronnictwa Narodowego, a pod względem gospodarczym reprezentowała identyczny program z Polską Partią Radykalną pp. Zagajewicza i Czechowicza — faktycznie *znalazło w niej schronienie grono tych „starszych panów" od polityki,* którzy poprzednio wysiadywali w Lidze Odrodzenia Gospodarczego.

Właściwy redaktor i właściciel pisma, p. Władysław Kaszubski, właściciel kamienicy przy ul. Powązkowskiej 8 w Warszawie, piastując mandat prezesa „Radykalnego Obozu Sarmatów", do zastępowania siebie na terenie prowadzonego tygodnika *zaangażował dwóch akwizytorów* z „Warty" pp. Władysława Skupienia i Nowakowskiego. Ci zaś nie tylko akwirowali ogłoszenia, ale i artykuły różnych pisarzy, polityków i ekonomistów. Po kilku numerach stało się widocznym, że pismo większego powodzenia nie zdobędzie i stało się jedynie *wdzięczną areną popisów domorosłych ekonomistów,* którzy przydługimi tasiemcami chcieli nakarmiać do syta rzesze czytelnicze.

P. Kaszubski czynił apologię... Doboszyńskiego, prof. Brodzic-Lipiński (zresztą obywatel szwajcarski i bynajmniej nie kwapiący się do zmiany obywatelstwa na polskie) bzdurzył ekonomicznie na temat robót publicznych bez... pokrycia, to też *długi za drukowanie pisma nieustannie rosły* u niejakiego p. Wolnickiego, w jednej osobie właściciela drukarni i... skarbnika „Radykalnego Obozu Sarmatów".

Kiedy zakończył się sezon wakacyjny i pismo zwiększało liczbę prenumeratorów, p. dyr. Kaszubski postanowił za jednym zamachem *uwolnić się od niewygodnych wspólników* pp. Skupienia i Nowakowskiego, zwalniając ich z miejsca bez odszkodowania. Nie przewidział jednego, że pracownik Skupień był nie tylko redaktorem odpowiedzialnym, ale i prawnym wydawcą „Sarmaty". I oto stało się to, czego się najmniej spodziewali radykalni sarmaci. Radykalniejsi w konsekwencjach pp. Skupień i Nowakowscy *zabrali kartoteki z prenumeratorami,* przenieśli redakcję „Sarmaty" do swego prywatnego mieszkania, a p. Skupień jako wydawca „Sarmaty" powiadomił Komisariat Rządu (Wydział Prasowy), że pismo z powodu odjęcia mu subwencyj przez p. Kaszubskiego odłącza się od Radykalnego Obozu Sarmatów.

Obydwie strony w tej chwili są w stanie wojny. Obydwie strony grożą sobie skargami do prokuratorii, a dyr. Kaszubski, radykalizując zatarg, nawet... *wykupił na pismo świadectwo przemysłowe)* (na własne imię) podczas, gdy wydawnictwo przed kilku miesiącami przepisał dobrowolnie na p. Skupienia, aby właśnie... uniknąć ewentualnych komplikacji podatkowych.

Najbardziej dowcipnie znalazł się w sytuacji p. Wolnicki, który zażądał od swego wydalonego pracownika i wydawcy-figuranta (któremu skarbnik Radykalnego Obozu Sarmatów wespół z prezesem Kaszubskim drukowali i finansowali pismo), aby zapłacił aż... 2.000 zł. tytułem zaległości za drukowanie czasopisma.

Tak żyją i tak pracują zabawne partie polityczne w stolicy.

A. O.

Tydzień ubiegły

Ostatnie dni ub. tygodnia upłynęły pod znakiem dwu wydarzeń, które niewątpliwie bardzo poważnie zaważą na szali losów Europy, a kto wie czy nie i pozostałych części świata.

Mamy tu na myśli rezultaty wizyty hr. Ciano w Berlinie i deklarację sowiecką w międzynarodowym komitecie kontroli nad nieinterwencją w sprawie hiszpańskiej. Obydwa wydarzenia, pozornie dalekie i kruchymi tylko więzami połączone, w rzeczywistości bez trudu mogą przeobrazić się w jedną wielką „niespodziankę", której na imię: pożar Europy.

W porozumieniu włosko-niemieckim, które stało się rezultatem podróży 33-letniego ministra spraw zagranicznych faszystowskich Włoch do Hitlera, bez trudu możemy znaleźć dwa elementy które być może przyczynią się do narodzin „niespodzianki", są to: uznanie hegemonii włoskiej na morzu Śródziemnem i... uznanie hiszpańskiego rządu narodowego.

W deklaracji sowieckiej złożonej komitetowi w ub. piątek przez ambasadora ZSSR w Londynie p. Majskiego, mimo wykrętnej, typowo „dyplomatycznej" formy wszystkie elementy zmierzają do... podpalenia Europy.

Rząd sowiecki mówi coprawda tylko o tym, że oburzony nielojalnością innych mocarstw wchodzących w skład komitetu nieinterwencji, a mimo to zaopatrujących w materiały wojenne wojska powstańcze, postanowił również, nie ustępując bynajmniej z komitetu, zaopatrywać w sprzęt wojenny rząd czerwonej Hiszpanii...

Możnaby tę deklarację poważnie traktować, gdyby brzmienie jej odpowiadało stanowi faktycznemu, ale... dalecy od angażowania się po białej czy czerwonej stronie Hiszpanii, czemu zresztą niejednokrotnie daliśmy wyraz na łamach WIEM WSZYSTKO, musimy również w imię bezstronności stwierdzić, że prasa zachodnioeuropejska, ten dla nas jedyny informator o tym co się w Hiszpanii dzieje, pisała nietylko o tym jak Niemcy czy Włochy zaopatrują w materiały wojenne oddziały gen. Franco, ale nie szczędziły również rewelacyj o imponujących transportach wojennych adresowanych z Moskwy do Madrytu.

Zresztą, nie łudźmy się, dzieckoby nawet nie uwierzyło, że transportowce sowieckie kursujące czy to z portów bałtyckich czy czarnomorskich do portów czerwonej Hiszpanii, woziły jedynie... kawior i arbuzy krymskie. Powszechnie wiadomo o tym, że Sowiety bardzo wydatnie zaopatrywały Madryt w samoloty, broń i amunicję i fakt ten radykalnie przekreśla deklarację rządu ZSRR złożoną w Londynie, ukazując inne, bardziej właściwe jej oblicze.

Wydaje nam się, że nie będziemy dalecy od przesady, a już napewno nie będziemy odosobnieni, jeśli zaryzykujemy twierdzenie, że deklaracja sowiecka miała na celu jedynie i wyłącznie wywołanie niepokoju w Europie, a jeśli dobrze pójdzie... podpalenie tejże Europy.

Pomni tego, że właśnie na Hiszpanię wskazywał Lenin jako na drugą z kolei bazę wypadową komunizmu, jesteśmy skłonni przypuszczać, że Sowiety nie tak łatwo zrezygnują z tejże Hiszpanii, jako... lontu, który podpali proch nagromadzony w Europie. Wydarzenia posuwają się naprzód w błyskawicznym tempie i chociaż nie raz byliśmy już świadkami podobnych zagnień, to jednak obecna sytuacja wydaje się być b. groźną. **Ignis**

Wyjaśnienie

W jednym z ostatnich numerów WIEM WSZYSTKO zamieściliśmy artykuł p.t. „Gdzie pani woli słup?"

W artykule tym, opisującym dziwne dzieje właścicielki willi w Świdrach Małych pod Warszawą, na posiadłość której zrobiono bezprawny najazd, celem ustawienia słupa pod przewody wysokiego napięcia.

Opisując starania właścicielki willi o usunięcie słupa, mylnie wydrukowano nazwisko radcy woj. warszawskiego p. Piętki. Wydrukowano „Piątka" zamiast „radca Piętka".

Czyżby naprawdę?...

...wyjechała do Łodzi specjalna komisja, celem zbadania gospodarki w zakładach Scheiblera i Grohmana? W związku z tym kariera gen. Maciszewskiego w tych zakładach ma być poważnie zachwianą.

...jeden z wybitnych działaczy na terenie rzemieślniczym w stolicy miał jeszcze od 1925 r. przeszło 100-tysięczny dług, za towary nabrane do swej hurtowni z Pol. Monopolu Tytoniowego? Obecnie, ni stąd ni zowąd, dług ten został uregulowany. Ciekawe, w jaki sposób, w dzisiejszych ciężkich czasach, ten działacz rzemieślniczy uzyskał na spłatę długu tak olbrzymią sumę.

...sławny Lopek Brodziński wpadł na genialny sposób kolportowania swego grafomańskiego „dzieła"? Oto spotykając znajomych aktorów, zapytuje z uśmiechem niewiniątka: „Czy mogę panu wręczyć egzemplarz mojej nowej książki z autografem?" Oczywiście aktor czy aktorka godzą się i uprzejmie dziękują znakomitemu „autorowi". P. Brodziński wypisuje wówczas autograf i wręczając broszurki mówi: „Egzemplarz kosztuje 3 złote..."

...operetka na Karowej miała specjalne szczęście do procesów? W najbliższych dniach, na wokandzie jednego z sądów grodzkich znajdzie się sprawa wytoczona przez doskonałą śpiewaczkę p. Ninę Grudzińską, synowi dyrektora Operetki na Karowej — Karolowi Łaszewskiemu. Oto młody „teatroman" zapałał sentymentem do jednej z chórzystek operetkowych panny O., której ofiarował w upominku... pantofelki ze srebrnej skórki. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie drobny szczegół, że pantofelki stanowiły własność p. Niny Grudzińskiej, a w teatrze były zostawione tylko na pewien czas. Ponieważ w pierwszym terminie szarmancki Łaszewski-junior na rozprawę nie stawił się, sędzia nakazał sprowadzić „obiecującego młodzieńca" przez policję.

O ludziach siwych
ale nie poważnych

Cechą charakterystyczną mędrca jest spokój, który go nigdy nie opuszcza, i kultura.

Synarchiści uważają się za mędrców. Nigdy jednak nie zachowują spokoju. O kulturze ich znów świadczy najlepiej fakt ordynarnej napaści na WIEM WSZYSTKO, wydrukowanej w organie Polskiej Partii Radykalnej.

Po za stekiem wymysłów, anonimowy autor, w swej mydlarskiej megelomanii, stwierdza, że od naszego ataku „dostojna rzeczywistość nie drgnęła".

Pomijamy już to, że znakomity mydlarz pochlebia sobie i swym kompanionom przypuszczeniem, że można ich atakować. Naszym bowiem zdaniem atakować można tylko ludzi poważnych, z którymi się jednak nie zgadza. W danym wypadku nigdy nie uważaliśmy tej właśnie grupy, złączonej pod dyktatorskim berłem „wodza narodu", za poważną, z którą trzeba się liczyć i na którą warto zwracać uwagę. Postępowanie ich bowiem nadaje się tylko do popularnej w wielu pismach rubryki: „rzeczy we sole".

Ordynarne za tym wystąpienie anonimowego synarchisty wcale nas nie dziwi. Potwierdza bowiem jeszcze raz nasze przypuszczenia o powadze i kulturze tych osobników.

Dziwi nas jednak fakt umieszczenia tej piany mydlarskiej w organie partii radykalnej.

Choć bowiem jest tam paru synarchistów, to jednak wiemy doskonale, że decydującym czynnikiem jest konspirujący się pan, nazywany przez redaktora organu partii i jego przyjaciół „panem Zagajewiczem".

Ten to pan Zagajewicz zajmuje wybitne stanowisko państwowe, jest więc człowiekiem kulturalnym. Powinien za tym pouczyć niepoważnych swych podwładnych, że w partii radykalnej rządzi jeszcze on, to jest p. Zagajewicz, a nie „wódz narodu" p. Tarło-Maziński i jego adherenci.

Jeśli partią kieruje poważny człowiek, to powinien także partyjnym pismem, mającym pretensje do powagi, kierować poważny, z charakterem, człowiek.

Może jednak się mylimy, może p. Zagajewicz już wystąpił z partii. Może już nią rządzi „wódz narodu" p. Tarło-Maziński i jego mydlarze?

Bądź tak, jesteśmy spokojni, że dni P. P. R. są policzone. Synarchiści, z wrodzonym talentem, zlikwidują tę organizację.

en.

Bagienko filmowe

Po straganie... kino
Nowi ludzie w branży kinematograficznej

Obecnie, kiedy jest w pelni sezon filmowy nie od rzeczy będzie, przyjrzeć się bliżej, jak też powiódł się start dwuch zeroekranowych kin chrześciańskich. Mamy tu na myśli

kino „Filharmonię" i kino „Romę".

Kino „Filharmonia" przeszło w ręce chrześciańskie z d. 1 lutego r. b.

Nowy kierownik tej pierwszej chrześciańskiej placówki — jaką stała się „Filharmonia" — p. Przyklęk-Frankowski z zapałem przystąpił do kontynuowania z góry wytkniętego planu, polegającego na demonstrowaniu w swym kinie

filmów prawie wyłącznie produkcji niemieckiej.

Motywem tego kroku było to, iż od czasu przewrotu hitlerowskiego na ekranach warszawskich wielką rzadkością był film niemiecki.

Jeśli które z kin zero-ekranowych ośmieliło się wyświetlać film niemiecki, wówczas „wkraczał" osławiony „komitet antyhitlerowski. drogą moralnego teroru i wszelkiego rodzaju szykan ,zmuszając właściciela kina do zdjęcia z ekranu filmu, będącego na indeksie.

Natychmiast po otwarciu kina „Filharmonia" ukazał się okólnik „komitetu antyhitlerowskiego", zawierający wezwanie skierowane

do społeczeństwa żydowskiego aby nie uczęszczało do kina,

wyświetlającego filmy hitlerowskie. Nie dość na tym. W pierwszym dniach otwarcia „Filharmonii" jacyś nieznani osobnicy rzucili w przedsionku kina kilka petard.

W „branży" po kawiarniach i zakładach w rodzaju „Ala fourchette" i w „Quick'u (ulubione miejsce zebrań „branży") mówiło się, że „Filharmonia" czy prędzej, czy później musi „splajtować"...

Dyrekcja kina „Filharmonia" tymczasem wystawiła film „Mazur", który zdaniem znawców (nawet tych z „branży") był filmem wysoce artystycznym, świetnie zrobionym przez reż. W. Forsta. Film ów

szedł przeszło 5 tygodni,

co zważywszy na bojkot było nielada sukcesem. Nawiasem mówiąc, gdyby film ten szedł w innym kinie zero-ekranowym, w którym „szefowi" reklamy udałoby się otumanić „branżę" i „komitet antyhitlerowski", to jesteśmy przekonani, że film ten z pewnością robiłby kasę nie przez miesiąc,

a conajmniej przez 3 miesiące,

podobnie jak to było z hitlerowską „Niedokończoną symfonią", która szła w kinie „Casino" pół roku!

Jednocześnie w tym samym czasie zostało otwarte drugie chrześciańskie kino zero-ekranowe „Roma" to też „Filharmonia" pozyskała jak gdyby sojusznika. Kino „Roma" na otwarcie (24 lutego r. b.)

zaprezentowało film niemiecki,

który utrzymał się na ekranie przez przeciąg miesiąca. Dyrekcja „Filharmonii" wystawiła po „Mazurze" komedię, która szła przez 5 tygodni.

W „branży" dało się zauważyć silne zdenerwowanie i zaniepokojenie...

Tymczasem „Roma" po tak udanym początku ni stąd, ni zowąd wystawiła operową „szmirę" „Metropolitan" wytw. „Foxa". Trudno jest dociec, co spowodowało wystawienie tego „kiczu", chyba tylko fakt, że film ów reżyserował Polak (R. Bolesławski), któremu prawdę mówiąc

film ten wcale się nie udał.

W tym samym czasie „Filharmonia" wystawiła również „operowy" film niemiecki z tenorem B. Giglii. Dotąd wszystko szło jako tako, ale wraz z nastaniem pory letniej, w repertuarze „Filharmonii" zaczęły się dziać rzeczy niesamowite. Od końca kwietnia zaczęto wystawiać takie „kryminaty" i „kicze", że nawet pies z kulawą nogą, omijał zdala nieszczęsne kino, a „branża" tryumfowała. Ratunek był jednak, szkoda tylko, że kierownictwo straciło głowę. Warszawska S-ka Kinematogr. posiadała kilkanaście b. dobrych niemieckich filmów, które można było z powodzeniem wystawić. Weźmy choćby dla przykładu doskonały film komediowy „Ufy" p. t.

„Wojna w królestwie walca",

który szedł w takim kinie zero-ekranowym jak „Małe Colosseum!".

W kinie „Roma" również było źle, gdy po „Metropolitan" poszedł straszliwy „kicz" z biura p. Emila(?) Katza, a następnie gdy zagościł „kryminał" z „Green-filmu". W ostatniej jednak chwili dyrekcja „Romy" szczęśliwie znalazła pod ręką film austriacki.

W rezultacie widzimy więc, że „Roma" wyszła z walki z „branżą" obronną ręką, natomiast „Filharmonia" wyraźnie niedomaga. Tak oto przedstawia się sytuacja na froncie walki z „prymatem' geszefciarzy i handelesów w branży kinowej.

Qui-qui.

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr — Rewia — Kino

„ZWYCIĘSTWO PŁCI" (Teatr Mały). Ogólnie cenione i szanowane T.K.K.T. już w najbliższej przyszłości zmienia nazwę na... Tow. Krzewienia Kultury Meblarskiej. Pierwszym etapem gruntownych przemian jest przedstawienie w Teatrze Małym, gdzie Kaden licząc na jeszcze jedną, dobrze płatną posadę, zrobił gustowną zresztą wystawę angielskiego wnętrza, prawdopodobnie „made in Szczerbiński". Między przyjemnymi mebelkami szastają się trzy rodziny i jeden samotny facet. Oczywiście widza polskiego zupełnie nie interesują perypetie domowe wypróbowanych Anglików i na widowni nikt nie dotrwałby do końca, gdyby nie... pierwszorzędna gra Ziembińskiego, który również miał przykrość wyreżyserowania tego bohomazu. Romanówna, Kreczmar i Grolicki grali przyjemnie i przekonywująco, u p. Piaskowskiej przekonywały nogi, na które tak konsekwentnie reflektował bliżej nam nieznany Filip.

Widz.

„DWA DNI W RAJU" (kino „Apollo"). Poraz 1867 historia o hrabinie, która nie jest hrabiną i o milionerze, który nie jest milionerem. Ona jest modelką, a on buchalterem. Jakie to nowe, prawda?! A przy tym cała historia jest rozwleczona w nieskończoność, a dialogi — nawet na polskie stosunki — są wyjątkowo pozbawione dowcipu. „Powiedzonka" pamiętają jeszcze czasy Księstwa Warszawskiego.

Staruszek Bodo, który już 10 lat temu przestał być amantem, a wciąż jeszcze udaje „takowego" bez powodzenia, zastępuje grę grymasami. Natomiast Fertner, który jest wiecznie jednakowy w filmach, tym razem jakoś zagrał z prawdziwym temperamentem. Również doskonale spisała się Helena Grossówna. Epizodzik Sielańskiego — niezły. Inni aktorzy nawet nie są wymienieni w obsadzie. Nie źle wypadł debiut nowego komika Filipa Endego, źle natomiast — epizod Erwy Erwicz. Reszta obsady — poniżej przeciętności.

Reżyser Leon Trystan, bohatersko walczył z beznadziejnością scenariusza i tekstów. Praca jego jest solidna. Muzyka H. Warsa wybitnie „kryzysowa". Zdjęcia Wywerki tym razem zupełnie poprawne.

Ogółem wziąwszy — film nudny, na który nie warto chodzić. Pomimo dobrej, nad programowej Betty Boop.

„KRÓL KOBIET" (kino „Europa"). „Król Kobiet" należy do tych filmów, wobec których recenzent staje bezradny: w film włożono olbrzymią pracę i olbrzymie koszty, a rezultat jest mniej, niż skromny. Może w Ameryce ta niemoralna historia „nowojorskiego Moszkowicza" może znaleźć wdzięczną publiczność, bo tam każde dziecko wie, kim była Anny Held, kim była Billie Burke, kim był Will Rogers. Dla przeciętnego widza europejskiego natomiast „Król Kobiet" jest niesamowitą piłą, której nie może uratować oszałamiająca, ale nie pozostawiająca żadnego wrażenia rewia.

Reżyser Robert Z. Leonard wywiązał się uczciwie ze swego zadania. Również aktorzy grają przyzwoicie. Zwłaszcza William Powell i Luise Rainer wybijają się ponad resztę. Ponad to grają: Myrna Loy, Frank Morgan, Reginald Owen i szereg innych, którzy odtwarzają postacie w Ameryce popularne — u nas prawie zupełnie nieznane.

„PAN Z MILIONAMI" (kino „Rialto"). Pomimo, że postacie występujące w tym filmie mają charakter wybitnie amerykański, cały obraz nosi piętno raczej europejskie. Humor jest naogół subtelny, posiada ukryty sens moralny. Realizacja (Frank Capra) dopisała również, uwypuklając komizm wielu znakomitych scen.

Triumfatorem wieczoru jest Gary Cooper, który odtwarza z naiwną prostotą rolę Mister Deedsa, dziedzica olbrzymiej fortuny, który poraz pierwszy opuszcza rodzinne miasteczko. Jean Arthur, znana nam z filmu „Całe miasto o tem mówi", reprezentuje typ przeciętnej Amerykanki. Jest miła i gra swobodnie, ale akcent posiada niezbyt przyjemny. Z przyjemnością oglądaliśmy w tym obrazie dawnego gwiazdora filmów niemych George Bancrofta i doskonałego aktora H. B. Warnera. Obaj otrzymali tutaj małe rólki (redaktor i sędzia), ale potrafili jednak zwrócić na siebie uwagę widzów.

Na film „Pan z milionami" warto bezwzględnie iść, bo jest miły i przyjemny. Uśmiać się można serdecznie, a przy tym nie pozbawiony jest też szczerego sentymentu.

X. 27. —

Pożyteczna placówka

Każdy dodatni objaw, zaobserwowany w życiu gospodarczym kraju, zawsze zasługuje na uwagę prasy.

Nic przeto dziwnego, że w danej chwili za przedmiot naszego zainteresowania wybraliśmy godną uwagę tutejszą placówkę przemysłową.

Jest nią znana Fabryka Lamp Elektrycznych i Wyrobów Metalowych N. Gruszkiewicz i S-ka, założona w 1898 r.

Wytwórnia ta zatrudnia obecnie około 40 robotników.

Dzięki niezwykle precyzyjnemu wykonaniu, wyroby rzeczonej Firmy cieszą się dużym wzięciem, zjednując sobie coraz więcej odbiorców.

Z prawdziwą satysfakcją należy podkreślić rzadko spotykany w stosunkach przemysłowych fakt, iż wymieniona Fabryka w ciągu długoletniego swego istnienia ani razu nie miała zatargów ze swoimi robotnikami.

Okoliczność ta niewątpliwie tkwi w doskonałym zrozumieniu przez dyrektora technicznego i zarazem współwłaściciela Fabryki, p. Jana Gruszkiewicza wymagań chwili, do których on, jako gruntowny znawca psychiki pracujących, z którymi ciągle jest w bezpośrednim kontakcie, ściśle się stosuje.

Oznaczona Firma organizuje obecnie eksport swoich wyrobów do Anglii.

Wyłuszczone dane utwierdzają w przekonaniu, że wymienione przedsiębiorstwo zasługuje na powszechne poparcie.

S-ki.

„ARTYSTA" — KRYMINALISTA

Sensacyjny proces teatralny

Sąd grodzki 2-go oddziału przy ul. Trębackiej rozpatrywał we wtorek 27 ub. m. niezwykłą sprawę, rzucającą ponure światło na stosunki zakulisowe w teatrach warszawskich.

Na ławie oskarżonych zasiadł dwudziestoparoletni artysta" Operetki na Karowej, Stefan Cieszkowski, który przed paru tygodniami za kulisami tegoż teatru, przywłaszczył sobie platynowy zegarek artystki baletu p. Janiny Kaniewskiej. Zegarek ten, przedstawiający wartość kilkuset złotych, tancerka nieopatrznie zostawiła w garderobie.

Dzięki energji wywiadowców I-go komisariatu P.P. zegarek wrócił do właścicielki, jednakże zupełnie zepsuty i połamany, a Cieszkowski, nota bene syn bardzo zamożnych rodziców, właścicieli kilku sklepów z kapeluszami, stanął przed sądem.

Przewód sądowy stwierdził, że „przyjemny kolega" platynowy zegareczek tancerki osobiście sprzedał jakiemuś zegarmistrzowi za 58 zł., twierdząc, że zegarek stanowi własność jego siostry.

Mimo wysiłków obrony w osobie adw. Gelentera, po przemówieniu pełnomocnika poszkodowanej adw. Malberga, sędzia Śliwowski uznał winę Cieszkowskiego za udowodnioną i skazał go na trzy miesiące aresztu. W ustnych motywach sędzia Śliwowski bardzo ostro napiętnował wysoce nieetyczny postępek skazanego, który wszakże uważał się za kolegę poszkodowanej artystki.

Drobiazgi

W okresie letnich miesięcy r. b. t. j. maj sierpień przyjechało do Polski 25.700 obcokrajowców. W ogólnej tej liczbie było 8500 obywateli niemieckich, 2300 austriackich, 1700 czechosłowackich i 1500 z USA.

W rzędzie miast odwiedzonych przez tych cudzoziemskich turystów, pierwsze miejsce pod względem liczebności tychże zajmuje stolica, kolejne miejsca przypadają na Katowice, Poznań, Kraków. Gdynię odwiedziło w tym okresie zaledwo 464 obcych obywateli.

(a)

Pod światło

Groźny konkurent sławnego „Jana bez ziemi" — Otmara, Axela Bersona p. Konstanty Symonolewicz w artykule zatytułowanym: „Czy potrzebne są nowe tereny dla imigracji żydowskiej?" (Kurjer Poranny z dn. 25.10) tak pisze:

„Ustaleniem absorpcyjnej zdolności kraju ma zająć się komisja królewska, której przyjazd do Palestyny ma nastąpić niezwłocznie po stłumieniu obecnych rozruchów. Bezstronność wysokiego śledczego organu władzy mandatowej nie może ulegać wątpliwości, należy jednak mieć na uwadze, że całkowite wyeliminowanie komisji ze sfery zainteresowań politycznych W. Brytanii w świecie arabskim, również wydaje się mało prawdopodobne."

Więc jakże jest, drogi Mistrzu? Czy ta bezstronność „angliczanów" nie może ulegać wątpliwości, czy też... wydaje się mało prawdopodobna?

*

W niezbędnym dla każdego programie cafe-dancingu „Adria" na miesiąc październik znajdujemy taką „reklamikę" bliżej nam nieznanego p. Wiktora Tychowskiego:

„WIKTOR TYCHOWSKI
ulubieniec podróżujących szlakiem Polska — Ameryka.
WIKTOR TYCHOWSKI
najpopularniejszy kompozytor radio-wo-filmowy.
WIKTOR TYCHOWSKI
dziś jeszcze otrzymuje setki listów tygodniowo od tych, którzy na okrętach słuchali jego melodii.
WIKTOR TYCHOWSKI
oczekiwany jest w Ameryce z niecierpliwością.
WIKTOR TYCHOWSKI
jest ulubieńcem jednej i drugiej półkuli.
WIKTOR TYCHOWSKI
będzie ambasadorem polskiej muzyki taneczno-śpiewnej w Ameryce.
WIKTOR TYCHOWSKI
przez miesiąc październik, gra, śpiewa, tańczy i przyśpiewuje w CHAMPAGNE PAVILLON."

Co coś jesteście zanadto uniwersalni, ambasador Tychowski! Które to półkule, jeśli wolno zapytać, tak bardzo was hołubią? A nuż Lopka Brodzińskiego...

*

Starannie redagowany Kurjer Czerwony w nr. z dn. 25 b. m. przynosi interesującą korespondencję z Tuluzy, w której czytamy:

„...ubrany w szare flanelowe spodnie i kolorową sportową koszulę, o spokojnych wyrazistych rysach twarzy."

Najuprzejmiej prosimy pół tuzina kolorowych, sportowych koszul, o spokojnych, wyrazistych rysach twarzy.

*

Jak wiadomo Express Poranny i Kurier Czerwony są t. zw. bratnimi organami. W nr. Expressu z dn. 24 czytaliśmy wstrząsający reportaż osnuty na tle samobójstwa trzech młodych kobiet i wydawało nam się, że samobójstwo to popełniły one spowodu nędzy. Tymczasem „bratni" Kurier Czerwony z tegoż samego dnia, donosi:

„Powodem wspólnego zamachu samobójczego była nieszczęśliwa miłość. Wszystkie trzy kochały jednego mężczyznę, a nie mogąc znaleźć innego rozwiązania, postanowiły popełnić wspólne samobójstwo."

To się nazywa dobrze zorganizowana, bratnia służbą informacyjna.

Stary pies.

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.— **OGŁOSZENIA:** za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł.: Komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Królewska Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-66 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 11-ej do 13-ej
Konto w P. K. O. Nr. 15,581

Redaktor: **Henryk Sieciński.** Wydawca: **Włodzimierz Popławski**

Druk. „Kolumna" Warszawa, Nowy Świat 39